№ 57

# ROZMAITOŚCI Warszawskie.

NIEDZIELA 19 LIPCA. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — ROKU 1835.

## MYŚLIWSKA PRZYGODA W GÓRACH AUWERNII.

Z G. AGARD HANSARD.

(Dokończenie.)

Zaspokoiwszy najzupełniej pierwsze potrzeby natury i oddawszy szczątki uczty niemym naszym towarzyszom, przypatrzyłem się baczniej miejscu, które użyczało nam zachrony. Jaskinia była obszerna i wysoka; ściany i sklepienie, których przyrodzona czarna barwa od gęstego dymu jeszcze czarniejszą się stała, błyszczały teraz jasno oświecone czerwonym płomieniem smolnych sosnowych gałęzi, i odbijały wesoły głos mego leśnego drucha, który z wrodzoną narodowi swemu wesołością głośno wyśpiewywał, sławiąc rozkosze myśliwskiego życia. Najeżone kolcami obroże wspaniałych ogarów błyskały przy połysku płomienia, gdy dowoli nasycone wypoczywały przed ogniskiem, a chwilami nagłe zadrzenie świadczyło, że i w krainie snów odgrywały dziwne swoje zatrudnienia. Strzelby, myśliwskie torby, trąbki, prochowe rogi malowniczo wisiały po ścianach, a plusk deszczu, dziki szum leśnego strumienia, łomot szturmem druzgotanych gałęzi, podwyższały jeszcze romantyczność tej sceny.

Wesoły leśniczy, mimo srogiej walki żywiołów, wyżej jeszcze głos podnosił, abym pieśń jego dosłyszał. Spiewał właśnie w najlepsze, gdy głuche, przytłumione warczenie ogara, który podniósł głowę, i bacznie ku wchodowi jaskini poglądał, położyło tamę jego wesołości.—Na Świętego Huberta! —zawołał strzelec, zrywając się, i jedną ręką pochwycił fuzyję, a drugą psa za obrożę zatrzymał, —zapach naszej zwierzyny zrobił nam nieproszonych gości; nos wilczy nigdy się nie zmyli, kiedy zwietrzy jaką zwierzynę! Przytrzymaj Pan psy swoje, — dodał, obracając się ku mnie; — nie przywykły one do podobnej roboty; zaraz ja tych gości zagnam nazad w gęstwinę! — To mówiąc, popuścił obrożę, i zaledwie jaskinia rozległa się jego nawoływaniem: Na tu! na tu! Polidor! Belmont! tu! tu! już oba psy z głośnem szczekaniem, zagłuszającem szum potoku i świst nawałnicy, pędem wypadły z groty. Wkrótce odgłosy skonały w dalekości. — Wilki, — rzekł, kładąc się znowu przed ogniskiem, — wielką są jeszcze plagą naszej górzystej krainy, ale mniejszą bez porównania, jak były w mojej młodości. — I starzec te słowa z posępną wymówił twarzą, sprzeczną zupełnie z wesołem i przyjacielskiem jego dotąd obejściem się, a która obudziła we mnie ciekawość spytania, czy w biegu swego myśliwskiego życia nie znajdował się kiedy w tak niebezpiecznych przygodach, jak ta, której ja dzisiaj bohaterem byłem.

— »Mamy jeszcze całe pół godziny, nim księżyc zejdzie, — rzekł; — deszcz już ustał, będzie zapewne można bród przebyć, gdyż potoki w górach zwykle tak prędko spadają, jak przybierają. Opowiem tymczasem Panu smutny wypadek, który się wydarzył za młodych lat moich, a którego prawie jedynym byłem świadkiem. Mało już żyje ludzi, co zapamiętać mogą straszliwą zimę 1768 roku, która w kronice Auwernii epokę stanowi. Powietrze, które do połowy listopada czyste i pogodne

chociaż zimno było, zmieniło się nagle, i w nocy z 21go nastąpiła śnieżna zawieja, która przez trzy prawie dni nieprzerwanie trwała. Wieczorem 28go zerwał się gwałtowny wiatr. Nagromadzone śnieżne zaspy uczyniły drogi nieprzebytemi, i wszelkie komunikacyje pomiędzy miastami i wioskami przerwane zostały. Mieszkańcy ile możności siedzieli w domach, gdyż we dnie nawet łatwo było napotkać głodnego wilka krążącego około folwarków, a w nocy całe ich gromady przebiegały okolice, i wściekłe od głodu napadały na każdą żyjącą istotę, gdy bezbronna nieszczęśliwie w pazury im popadła. Gdy tak w oblężeniu trzymali obory, wyraźnie w ciszy nocnej rozlegało się dzikie ich wycie, a zgrozą i przestrachem napełniając serca, wszystkim sen odbierało. Pewnej nocy, gdy straszliwi ci goście zasnąć mi nie dozwolili, usłyszałem jednym razem pośpieszny bieg konia, zbliżający się ku wiosce, i wskróś przeszywające krzyki błagającego o pomoc człowieka. Byłem sam jeden, na górze, zupełnie oddalony od reszty rodziny, matka spała na dole, a ojciec był w zamku, gdzie nazajutrz rano miał dopomódz doprowadzić na trop jelenia. Przez kilka chwil leżałem z bijącem sercem, lecz gdy tententent kopyt dał się bliżej słyszyć, ciekawość przemogła obawę. Wstałem i drżąc od zimna otworzyłem okno. Niebo było gwiazdami osute, księżyc oświecał jasno-białe śniegu zaspy. Naprzeciwko naszego domu, o dwadzieścia blizko kroków odległa od gościńca, stała gospoda. Gdym bacznie spojrzał w stronę, z której krzyk i tentent kopyt pochodziły, postrzegłem jeźdzca rozpacznie pędzącego ku gospodzie, której znak wiatrem kołysany zapewne zwrócił jego uwagę. Zatrzymując nagle konia, zaczął przeraźliwym i rozdzierającym głosem krzyczeć o pomoc i przytułek. Żywa dusza nie odpowiedziała; żaden łoskot nie zdradził, że wezwanie jego usłyszanem zostało. Wszystko zdawało się w najgłębszym śnie pogrążone, lub, co podobniejsza do prawdy, każdy za nadto dbał o własną całość, aby wstać zechciał. Właśnie w tej chwili rozległo się z tyłu donośne, straszliwe wycie; koń zaczął się dziko wspinać i stawiać dęba, a nieszczęśliwy jeździec wspiął go ostrogami z rozpacznym krzykiem, który dotąd jeszcze rozlega mi się w uszach, i dalej pędził. Byłem wówczas jeszcze zaledwo jedenasto-letni chłopiec, i o mało serce nie pękło mi ze zgrozy, gdy wychyliwszy się z okna, postrzegłem wyraźnie całe stado wilków wypadające z po-za rogu kościoła, i z głośnem wyciem biegnące ku miejscu, ponad którem stałem. Na chwilę zdało mi się, że ślad straciły, lub że ich zatrzymała nadzieja nowej zdobyczy, bo gdy jedne niedosłyszanemi kroki i pyskiem wietrząc po śniegu, na około gospody krążyły, reszta gromady zebrała się pod mojem oknem, a wspiąwszy się na tylne nogi, wąchała powietrze, skamląc i wyjąc za niedosięgniętą zdobyczą. Wkrótce jednakże znowu trop zwietrzyły, i ze zgubnym pośpiechem całe stado rzuciło się w kierunku, którym udał się nieznajomy. Długo stałem słuchając, dopóki odgłosy w dalekości nie skonały, i drżący położyłem się napowrót na łóżku, nie mogąc przez resztę nocy ani zmrużyć oka.

— A nieznajomy? może go rączość konia ocaliła, — zawołałem mocno wzruszony przy końcu opowiadania.

— Nie, mój Panie! Niepodobna; wilk ma węch tak dobry, jak najlepszy pies gończy, i chociaż zwolna, zawsze zdobycz swoją doścignie.

Nazajutrz rano największe pomięszanie ogarnęło mieszkańców wioski, gdyż wielu prócz mnie słyszało krzyk nieznajomego. Zgromadzili się przede drzwiami gospody, lub żwawo rozprawiając tam i napowrót przebiegali ulicę. Matka, której opowiedziałem cały wypadek, wziąwszy mnie za rękę, wmięszała się także pomiędzy sąsiadów; wkrótce stałem się jedynym przedmiotem ich uwagi, i wszyscy w głębokiem milczeniu, nie śmiejąc prawie oddychać, słuchali mego opowiadania; gdym przyszedł do tego miejsca, jak nieszczęśliwy dziko i rozpacznie błagał o pomoc i przytułek; gdym wskazał widoczne jeszcze na śniegu ślady kopyt końskich i stóp ścigającej go dziczy, wzbił się jednogłośny krzyk przerażenia i litości z ust wszystkich moich słuchaczy. Gdy jeszcze w milczeniu przyglądali się dowodom tej nieszczęsnej przygody, nadszedł mój ojciec uzbrojony dubeltówką, w towarzystwie wiernych psów swoich. Twarz jego śmiertelna pokrywała bladość; niósł w ręku pistolet, szczątki podróżnego płaszcza, i podarte, krwią zbroczone siodło. Na drodze przez pole, które z zamku na gościniec prowadzi, psy zboczyły w stronę i zatrzymały się blizko o wystrzał karabinowy od ubitej

dróżyny, którą postępował. Zdjęty ciekawością poszedł za niemi mój ojciec, i zadziwieniem i pomięszaniem postrzegł zupełnie świeży kościotrup konia, do którego jeszcze siodło było przypięte, a niedaleko przy nim leżał ów szczątek płaszcza i wystrzelony pistolet. Nie mogła teraz żadna wątpliwość zachodzić względem losu nieznajomego. Znaleziono później rozproszone pomiędzy cierniowemi krzaki szczątki odzieży i kilka papierów; niepodobna jednak było odkryć, kto był ów jeździec, nigdy nikt o niego się nie pytał.... Nie jedną mszę odprawiono odtąd za jego duszę, — dodał Leśniczy, żegnając się nabożnie.

W tej chwili wynurzył się wspaniale księżyc z poza chmury, a jasne światło wpłynęło do pieczary. Spiesznie zebraliśmy nasze manatki, i w towarzystwie psów, które, w ciągu opowiadania wróciwszy ze swojej gonitwy, znowu u nóg się naszych układły, puściliśmy się drogą ku brodowi. Czarne ogromne kamienie, miejsce mostu zastępujące, wyglądały teraz z pośród pienistych nurtów, które pierwej zupełnie powierzchnię ich zasłaniały. Przeprowadził mnie po nich mój przewodnik, szczęśliwie dostaliśmy się na drugi brzeg, i za kilka chwil wyszliśmy na gościniec.

— Teraz się Pan udasz wprost tą drogą; za dziesięć minut będziesz w St. Amande; mnie droga na lewo. — Wydobyłem sakiewkę, ale Leśniczy nie chciał przyjąć najmniejszej nagrody. — »Uczyniłem tylko to, co każdy chrześcijanin uczynić powinien w potrzebie dla bliźniego, — rzekł; — gdybym przyjął od Pana pieniądze, ani połowy nie doznałbym radości, jaką czuję z wyświadczonej mu przysługi; lecz jeźli można, prosiłbym, abyś mi kiedy podarował szczenię z tej pięknej rasy, — dodał, głaszcząc przyjaznie mego Irlandzkiego ogara.

— »Szanowny mój wybawco, — rzekłem, wymieniając mu moje nazwisko i adres, i serdecznie ściskając go za rękę, — już ja znajdę sposobność wywdzięczenia się tobie podług twego życzenia.« — Rozstaliśmy się jak najczulsi przyjaciele.

Nazajutrz napisałem do Anglii, a za miesiąc odwiedził mnie Konduktor paryzkiego dyliżansu, prowadząc na smyczy parę przepysznych małych ogarów, któremi wkrótce przyjaciela mego Leśniczego jako darem wdzięczności ucieszyłem.

---

## OBŁĄKANY.

POWIEŚĆ Z DZIEŁ KAROLA NODIER.

— »Nie opuszczę tych gór, — rzekłem do karczmarki, która mnie aż za próg wyprowadziła, — nie zobaczywszy się pierwej z dobrym Panem Dubourg, któregoś mi Pani przypomniała. Był-to najlepszy przyjaciel mojego ojca. Dopiero siódma; pogoda jest przepyszna, jak nic ujdę te małe trzy milki; mogę śmiało bez uszkodzenia moich interesów dzień jeden poświęcić na tę przechadzkę. Gniewałby się pewno, gdyby się dowiedział, że byłem tak blizko, a nie zaszedłem do niego.

— Nie wybaczyłby Panu tego, — odpowiedziała; — co tydzień przysyła się pytać, czy nie przyjechałeś.

— Jabym sobie bardziej jeszcze nie wybaczył, gdybym opuścił sposobność przekonania się, czy ziściło się moje proroctwo. Przepowiedziałem przed pięcią laty, że córka jego, Rozalija, która wtedy miała dopiero lat dwanaście, będzie kiedyś jedną z najcelniejszych piękności w tych stronach, i ciekawy jestem zobaczyć, czym się nie zawiódł na tej milutkiej błękitno-okiej brunetce.

— O! i jak się Pan jeszcze nie zawiódł, — zawołała Pani Gauthier. — Możnaby zajść do Besançon, a nawet i do Strasburga (co u poczciwej karczmarki znaczyło prawie antypodów), a nie napotkać nic podobnego; a do tego tak pięknie wychowana, skromna jak obrazek! Strzeż Pan dobrze serduszka, żebyś znowu nie powrócił w rozpaczy, jak to było niegdyś dla starszej. Chociaż nic Panu nie brakuje, i tym razem wzdychałbyś może na próżno, bo już od kilku miesięcy słychać, że idzie za mąż.

— Ach! moja kochana Pani Gauthier, czy-to mnie zawsze masz za młokosa; przecie już skończyłem dwudziesty czwarty rok, mam przecie już stałą posadę i los zapewniony. Czy myślisz, że Adwokat przysięgły takie będzie robił szaleństwa, jak student uczący się prawa?... Bądź spokojna, kochana Pani Gauthier, i pokaż mi tylko drogę, którą mam się udać do Pana Dubourg, gdyż nie wiedziałem nawet, że letni dom jego tak blizko ztąd leży.

— Pierwszą połowę drogi bardzo łatwo sam Pan znajdziesz, — odpowiedziała. — Idź tylko ubitą drożyną, która ot tam ciągnie się przez łąki ponad brzegiem tego strumyka zarosłego wierzbami; lecz jak się spuścisz z pagórka, po-za którym zaczyna

się dolina, to dopiero będzie inna sprawa; wejdziesz Pan w bór Chatiloński, który cały musisz przebyć, nim postrzeżesz zamek; a że go tylko sami węglarze zwiedzają, którzy krążąc tu i owdzie, tysiące krzyżujących się wydeptali ścieżek, powiadano mi, że łatwo w nim jest zabłądzić. Lecz na wstępie lasu nie jedna stoi chata, i łatwo Pan dostaniesz przewodnika.

Podziękowawszy za radę, pożegnałem się z moją gosposią, ruszyłem w drogę, i szedłem ochoczo, układając monolog do pierwszego aktu mojej tragedyi, cały zatopiony w moich pomysłach, jak zwykle poeta kochający się w utworach swojej wyobraźni. Nim godzina upłynęła, daleko też byłem poza wydeptaną drożyną, która bieży przez łąki, ponad brzegiem strumyka zarosłego wierzbami; przebyłem pagórek i wszedłem w tak gęste zarośla, że zając od ogarów szczwany zaledwieby się zdołał przez nie przecisnąć. Chciałem się wrócić, i jużem mniemał, że się ztamtąd nigdy nie wydobędę, gdy raptem postrzegłem maleńki biały domeczek, przyczepiony do lasu, jak kapliczka liściem zwieńczona. Opasywały go w czworogran gęste sztachety, oplecione winogradem i powiewnemi uplotami powoju i chmielu; u spodu gęsto zarastały dzikie róże, kwiatem obsypane.

Stanąłem przy wejściu tej poważnej samotni, zaledwie mogącej dwom lub trzem osobom służyć za mieszkanie. Na ławeczce przede drzwiami, która o kilka stopni wznosiła się ponad maleńkim warzywnym ogródkiem, siedział młodzieniec. Miałem czas mu się przypatrzyć, bo wcale na mnie nie zważał. Musiał być bez wątpienia czemciś bardzo zajęty, kiedy nie mógł postrzedz mojej obecności.

Nie mógłem powiedzieć, co mi się od razu podobało w tym młodzieńcu, co wzbudziło we mnie ciekawość, zajęcie, przychylność. Nie jestem bynajmniej romansowy; lecz miejsce, okoliczność, osoba nadewszystko, obudziły w mej duszy tłum smętno-poetycznych myśli, na które gniewałem się prawie, gdyż przerwały układ mego dramatycznego arcy-dzieła. Wkrótce jednak żywe sprawiły mi ukontentowanie i poiłem się niemi w milczeniu.

Młodzieniec ów, tak w myślach zatopiony, iż łoskot, który zrobiłem niebacznie zbliżając się do niego, wyrwać go z nich nie był zdolny, piękny był jak owe istoty, które zjawiają się nam we śnie, gdy zasypiamy po dobrym uczynku i w zupełnem zdrowiu. Podług mnie, są-to dwa jedyne sposoby kosztowania szczęścia na tym świecie. Zdawał się być delikatny, słaby nawet, a jednak biała i wdzięczna twarz jego, na którą spływały kędziory jasnopłowych włosów, zdawała się być zdolną przybrać wyraz męzkich uczuć. W łagodnych i omdlewających jego rysach przebijało głębokie jakoweś postanowienie i nawyknienie do nieustannego rozmyślania. To mię zdziwiło.

— Jako! pomyślałem sobie, miałożby zbolałe twoje serce zazdrościć darów ślepego losu, których tobie odmówił? Miałżebyś żałować, że ci wydarł prawo przynęcania go miłością, lub podbijania jenijuszem? Niechaj cię Bóg od tego uchowa, biedny mój aniele, — i zbliżałem się coraz bardziej ku niemu, gdyż niezmiernie go już polubiłem. — Pozostań spokojny i czysty, i ciesz się w samotności darami, które zlała na ciebie hojna natura!

Młodzieniec obrócił ku mnie oczy, i zaczął mi się pilnie przypatrywać, gdym go przywitał. Chciał wstać; zatrzymałem go, gdyż zdawał mi się być chory.

— Przepraszam cię, kochany przyjacielu, żem przerwał bieg twoich myśli, — rzekłem; — tak miło jest dumać w twoim wieku! Czy nie mógłbyś mi wskazać, tylko nie trudząc się, drogę, która przez ten las prowadzi do zamku Pana Dubourg? Musi nie być bardzo ztąd oddalony.

Spojrzał znowu na mnie, lecz nieśmiały i przyjazny wyraz jego twarzy zmienił się nagle w niespokojność i przerażenie. Zdawał się jednak namyślać.

— Zamek Pana Dubourg? — odpowiedział nakoniec, jak gdyby chcąc zgromadzić pomięszane jakoweś wspomnienia.— Dubourg?... Pan Dubourg?... zamek Pana Dubourg?... Ach! — mówił dalej, śmiejąc się, — tak się nazywał kiedyś piękny dom, w którym mieszkałem, kiedym był młody. Tam to pierwszy raz widziałem anioły w postaci kobiet, kwiaty rozwijające się we wszystkich porach roku, ptaszki, które zawsze śpiewały... Ale to nie było na tym świecie!...

Potem skłonił głowę na ręce, i zapomniał, że przed nim stoję.

Poznałem wówczas, że miał zmysły obłąkane.

Wtem drzwi się otworzyły i postrzegłem kobietę blizko pięćdziesiąt-letnią, lepiej daleko ubraną, niż zwykle chodzą wieśniaczki.

*(Dokończenie nastąpi.)*